

Co będzie z Ameryką, kiedy spisku brak?

29 marca 2019

W USA trwa burza wokół końcowego raportu komisji Roberta Muellera. Całości tekstu jeszcze nie ujawniono. Wiadomo tylko, że etatowi tropiciele „agentów Putina” mają dobre powody, by niejedną noc przepłakać do poduszki. Oczywiście kochają Amerykę. Tylko czym ta Ameryka dla nich jest?

– Właśnie przegraliśmy wojnę z Rosją, bez żadnej bitwy. Nie jesteśmy już wolnym narodem, nie jesteśmy już demokracją. Jesteśmy ofiarami bezkrwawego przewrotu – na razie bezkrwawego – zorganizowanego przez Rosję, przy w najlepszym razie zdradzieckim zubożeniu ze strony Republikanów i Donalda Johna Trumpa (...) Rosjanie chcieli, by ten człowiek rządził naszym krajem i dopięli swego!

Tak w listopadzie 2016 r. grzmiał Keith Olbermann, gwiazda telewizji MSNBC, nazywając Donalda Trumpa „ruską swołoczą” i ostrzegając Amerykanów, że jeżeli żadna z państwowych instytucji nie przeszkodzi mu w objęciu urzędu prezydenta, to wolnych wyborów w Stanach Zjednoczonych już nie będzie. Od tamtej pory głośna afera ochrzczona – całkiem nieironicznie – mianem Russiagate stała się oczkiem w głowie Partii Demokratycznej i sympatyzujących z nią liberalnych mediów. Były to dzienniki New York Times i Washington Post, kanał CNN i wspomniany MSNBC, gdzie oprócz Olbermanna w tropieniu zdrady stanu przodowała Rachel Maddow, niekwestionowana królowa telewizyjnego „ruchu oporu przeciwko Moskwie” w Waszyngtonie, otwarcie nazywająca Trumpa „rosyjskim agentem”.

Biorąc pod uwagę dwuletnie patriotyczne wzmożenie w środowisku, które samo się uważa za światłe, trudno od razu pojąć, czemu Rachel Maddow wyglądała jakby zaraz miała się rozpłakać, kiedy 22 marca informowała widzów o tym, że końcowy

raport głównej komisji niezmordowanie tropiącej najdrobniejsze ślady spisku między Trumpem i Putinem, wedle dostępnych danych uwalnia prezydenta od podejrzeń o zdradę kraju. Ameryka jest wolna. Skąd więc gorycz? Cóż, liberalno-lewicujące media włożyły tyle serca i pasji w nakręcanie antyrosyjskiej histerii w imię “wolności i demokracji”, że gdy nagle pękł balonik Russiagate, ich gwiazdy mają prawo czuć się, jakby straciły ponad dwa lata życia. Kraj owszem, uratowany, “najmojsza racja” – przeciwnie. Powód do łez, jak widać, jest. Do wstydu... niekoniecznie. Dziś wiadomo, że opowieść o “przejęciu USA przez Rosję” była wyłącznie bajką. Nie warto jednak liczyć na to, że ci, którzy rozpuścili ten fake news, choć przez chwilę pomyślą o sobie jako o kłamcach.

Russiagate: racja najmojsza

22 miesiące działania osławionej komisji Roberta Muellera zakończyły się sporządzeniem przez przewodniczącego sprawozdania i przekazania go jego zwierzchnikowi, prokuratorowi generalnemu Williamowi Barrowi. Raport nadal nie został upubliczniony. Wszystko, co do tej pory wiadomo o zawartości dokumentu, wiadomo z pisma na ten temat, jakie Barr skierował do Kongresu. W swoim memorandum streszcza on wyniki śledztwa Muellera, sprowadzając rezultaty do dwóch zasadniczych tez. Po pierwsze, komisarz nadzwyczajny “nie znalazł dowodów na to, że sztab wyborczy Donalda Trumpa lub ktokolwiek z nim związany, spiskował lub współpracował z rządem Rosji” w próbach wpłynięcia na wynik wyborów prezydenckich w 2016 r. Po drugie, Mueller nie udzielił rozstrzygającej odpowiedzi na pytanie, czy prezydent dopuścił się “obstrukcji wymiaru sprawiedliwości” w trakcie pełnienia czynności śledczych przez komisję.

Wynik śledztwa jest miażdżącym ciosem dla Demokratów i sprzyjających im dziennikarzy, którzy w okresie ostatnich dwóch lat postawili wszystko na jedną kartę: Russiagate. Ewentualność, że Trump kolaborował z rosyjskimi służbami, by w

zamian za odpowiadającą Moskwie politykę zausznicy Władimira Putina zmanipulowali na jego korzyść wybory, nie występowała w narracji mediów i polityków jako hipoteza, a jako fakt – jako realny, stwierdzony w zasadzie naocznie stan zagrożenia kraju: opanowanie Białego Domu przez wysłanników Moskwy.

Ktoś, kto przez dwa i pół roku wyraża się w tonie pewności ma zazwyczaj problem ze zmianą zdania w zetknięciu z faktami. Demokraci więc, co zrozumiałe, reagują histerycznie. Próbuje podważać wiarygodność opinii prokuratora Barra, zarzucając mu stronnictwo, tak jakby wierzyli w to, że w sytuacji, gdyby Barr kłamał na temat treści raportu, sam Mueller, któremu ufają bezgranicznie, siedziałby cicho i nie wychylał się. Korzystając z faktu, że raport nadal nie został upubliczniony, Jerrold Nadler, członek demokratów przewodniczący komisji sprawiedliwości Izby Reprezentantów otwarcie oskarżył prokuratora generalnego o stronnictwo i naciąganie ustaleń Muellera w interesie Trumpa.

Od kiedy tylko Donald Trump objął urząd, partia Nadlera robiła wszystko, by oskarżenia pod jego adresem potraktować jako sposobność do wszczęcia impeachmentu. Teraz działa u nich mechanizm utopionych kosztów: czują że muszą dalej jeść tę żabę, nawet jeśli dalszy ciąg Russiagate musiałby przerodzić się w walkę z samym departamentem sprawiedliwości. W tej sytuacji nie tylko oni żądają jak najszybszego ujawnienia pełnej treści sprawozdania. Apelują o to również Republikanie, świadomi, że bez tego nie rozstrzygnie się ostatni etap rozgrywki. Rzeczywiście będzie musiało do tego dojść. Bez upublicznienia wyników postępowania w sprawie o takiej randze, po wsze czasy pozostanie ona tak przedmiotem jak i motorem samonapędzającej się irracjonalnej jatki politycznej. Z drugiej strony, już w tej chwili wydaje się to sednem amerykańskiej polityki.

Liberalne media, które rozkręciły całą aferę, również nie stanęły na wysokości w reakcji na memorandum Barra. New York Times przykładowo, relacjonując wnioski prokuratora

generalnego, nie do końca chyba przyjął do wiadomości, że "Trump nie współpracował". Doniesienia na ten temat opatrzone w dzienniku kuriozalnym komentarzem pt. "Nie potrzebujemy czytać raportu Muellera", nie pozostawiającym wątpliwości, że Donald Trump jest urodzonym kłamcą, że dochodzenie dowiodło, iż jego ludzie kłamali, a zatem i specjalny komisarz dał się okłamać. Czołowy tytuł stojący na straży "wartości demokratycznych" swoje zatem wie i żadnych komisji mu nie potrzeba. W przekonaniu redakcji Trump jest winny z założenia i kropka. To kwestia nie wymagająca dyskusji.

Część komentatorów podkreśla, że powodzenie śledztwa Muellera doprowadziło do postawienia wielu zarzutów ludziom z otoczenia Trumpa, dlatego pogoń za "agentami Putina" należy uznać za owocną. Nic podobnego. Postawione zarzuty dotyczą nie współpracy z Rosjanami, a oszustw i krętactw, którymi nabrzmiały biznesy Donalda Trumpa, a które wyszły "w praniu". Najbardziej wpływowa z osób, które w ten sposób wpadły, Paul Manafort, szef kampanii prezydenckiej Trumpa w 2016 r., został skazany za ujawnione w trakcie śledztwa przekręty podatkowe. Komisja została powołana w jednym celu: ustalenia, czy Trump dopuścił się współpracy z Rosjanami, zagrażającej suwerenności USA. I z nadzieją na potwierdzenie tej tezy liberalne media kibicowały Muellerowi. Dzisiaj jest pewne: przegrali z kretesem.

Egzamin zdały z kolei niewielkie lewicowe media antyestablishmentowe, takie jak The Intercept, The Real News, Truthdig, Democracy Now! czy Counterpunch, które mimo że pałają odrazą do Trumpa, w narracji o "agenturze Putina" widziały od początku przede wszystkim polityczną nagonkę, grę pozorów i niesmaczny spektakl w interesie elit wycierających sobie usta "patriotyzmem" i "dobrem kraju" i korzystających z okazji, by odwrócić uwagę ludzi od stanu, w jakim zostawiły USA po upływie kadencji Baracka Obamy. Znalezli się niezależni i utytułowani dziennikarze, jak Glenn Greenwald, którzy w ciągu dwóch i pół roku bicia piany przez mainstream, potrafili

jednak trzeźwo oddzielić suche fakty od fikcji.

To polowanie na czarownice, gdzie oskarżenia starczyły za dowody, przyprawiło wielu o skojarzenia z ponurymi czasami maccarthyizmu w latach 50. XX w – na szczęście jednak objęło prawie wyłącznie bogaczy z otoczenia Trumpa, nie ludzi kultury, nauki i działaczy społecznych. Po raz kolejny sprawdziła się zasada: “Jeśli mówią o patriotyzmie, to znaczy że znowu coś ukradli”. Skorzystać z tej mądrości potrafiła przede wszystkim konsekwentna lewica – zawsze sceptyczna wobec sloganów o “ojczyźnie” i “kraju wolnych ludzi”, z zażenowaniem patrząca na straszenie Amerykanów Rosją w zimnowojennym duchu. Na tle Russiagate doszło wszak do zalewu amerykańskiej opinii publicznej falą żenujących i niebezpiecznych fake newsów, łącznie z sensacją, którą upowszachniał m.in. Washington Post, że Rosjanie zhakowali sieć energetyczną w USA i są o krok o wyłączenia Amerykanom prądu na zimę.

Russiagate: historia szaleństwa

Tak bezpardonowy atak na Trumpa nie miałby miejsca, gdyby nie polityczne zaangażowanie służb wywiadowczych, których wierchuszka od początku wyborów w 2016 r. sprzyjała Hillary Clinton ze względu na jej jednoznacznie antyrosyjską i antyirańską politykę zagraniczną oraz personalne powiązania z obozem Demokratów. Po “szokującym” zwycięstwie Trumpa kierownictwo CIA i FBI chętnie podjęło temat podejrzeń wobec Trumpa o spisek z Rosjanami, “wrzucony” pierwotnie przez sztab Clinton po ujawnieniu jej kompromitujących maili przez Wikileaks. Demokraci zaczęli krzyczeć o rosyjskiej prowokacji. Służby zaczęły wydawać oświadczenia i analizy pisane językiem żadnej sensacji prasy, byle tylko dać mediom powód do drapieżnego ataku na prezydenta-elekta. Tytuły prasowe, które kilka lat wcześniej broniły Snowdena i Assange’a przed waszyngtońskimi służbami, w obliczu zagrożenia “wrogiem demokracji” Donaldem Trumpem, postanowiły bezkrytycznie polegać na każdym słowie CIA i FBI – do tego stopnia, że

obydwu sygnalistów, hołubionych wcześniej jako ikony walki o demokrację, uznały w końcu za "agentów Putina".

Nastawienia mediów nie zmieniło to, że pierwszy raport CIA, rzekomo dowodzący zhakowania przez Rosjan skrzynek mailowych Hillary Clinton i Johna Podesty, zostały wyśmiane przez środowisko ekspertów od cyberbezpieczeństwa. Nie zmienił go fakt, że raport połączonych służb opublikowany w styczniu 2017 r. powstał z naruszeniem reguł i składał się wyłącznie z ogólnikowych formułek sugerujących m.in., że już samo istnienie telewizji RT jest zamachem na suwerenność USA. Nie zmienił jej fakt, że FBI posunęło się nawet do opierania swych wniosków na absurdalnym "raporcie" Christophera Steela, którego czołowe media same wcześniej nie chciały publikować, bo uznały go za stek niepotwierdzonych plotek oczerniających Trumpa w celu szantażu. Wszystko to przestało się już wówczas liczyć. Czołowe media bezdyskusyjnie orzekły: Ameryka w szponach Putina. Bo CIA tak mówi.

Końcowe wnioski Muellera z prawie dwuletniego śledztwa przyznają – jak informuje William Barr – że działania Rosjan zmierzające do wyborczego wzmocnienia Trumpa faktycznie miały miejsce. Raport potwierdza zarzuty wobec osławionej Internet Research Agency, która miała prowadzić "dezinformację" w mediach społecznościowych, to jednak sprawa małego kalibru. Istotne jest to, że Mueller podtrzymał też tezę o ataku hakerskim Rosjan na serwery Demokratów, z których wykradziono materiały (faktycznie) kompromitujące Clinton i jej stronnictwo w partii, a następnie dostarczono je Wikileaks. Na tej podstawie Mueller już kilka miesięcy wcześniej sporządził akt oskarżenia wobec 12 obywateli Rosji.

Trudno uznać to za dowód cyberagresji Rosjan, bo dowodów może dostarczyć tylko proces sądowy. Ten zaś prawdopodobnie w ogóle się nie odbędzie lub do niczego nie doprowadzi, ponieważ służby wywiadowcze – a tylko od nich mogą pochodzić przesłanki, na których oparł się Mueller – mają pełne prawo zasłonić się klauzulą tajności i odmówić ujawniania źródeł.

Ukazały się poza tym co najmniej dwa amerykańskie raporty eksperckie kwestionujące sposób, w jaki zdaniem Muellera Rosjanie mieli wejść w posiadanie e-maili Hillary Clinton. Najbardziej wiarygodnym źródłem potwierdzającym jakkolwiek tezę o “rosyjskiej ingerencji” okazał się dotychczas syn samego prezydenta, Donald Trump Jr. Przesłuchiwany przez komisję Muellera, płacząc się w zeznaniach, przyznał on w końcu, że podczas głośnego spotkania w Trump Tower w czerwcu 2016 r. jako członek sztabu wyborczego swojego ojca otrzymał on pochodzącą od Rosjan ofertę pomocy w “załatwieniu” kandydatki Demokratów.

Oburzenie, jakie w świecie zachodnim wywołuje myśl o tym, że Rosjanie mogli skutecznie pomóc Trumpowi, a nawet że w ogóle tego próbowali, jest raczej wyrazem liberalnej pruderii i obłudnej zasady “amerykańskiego ekscepcjonalizmu”, niż szczerzej wierności demokratycznym wartościom. Publika szkalująca Trumpa na zawołanie Rachel Maddows nie podnosiła tak epickiej wrzawy w związku z powtarzającymi się zbrodnictwami agresjami USA na suwerenne państwa, np. na Irak. Nie dostrzegają analogii z faktem, że “doradcy” z USA wygrali dla Borysa Jelcyna wybory w 1996 r., czym magazyn Times otwarcie się wówczas chwalił na okładce pisząc: “Usadziliśmy swojego człowieka na Kremlu”, a Zbigniew Brzeziński cieszył się wtedy, że “rosyjska gospodarka przejdzie na konto USA”.

Demokraci i ich wyborcy ze zrozumieniem obserwują obecne wysiłki Trumpa na rzecz obalenia rządu Nicolasa Maduro w Wenezueli – oczywiście pod hasłem “przywracania demokracji”. Bądźmy szczerzy: jeżeli doszło do próby wsparcia kampanii Trumpa przez Rosjan, to był przysłowiowy “mały Pikuś”. Straszanie Putinem ma przede wszystkim podłoże rusofobiczne, zakorzenione w mitach “cywilizowanego Zachodu” i “dzikiego, barbarzyńskiego Wschodu”. Jest to poza tym doskonała okazja do utwierdzenia samych siebie w przekonaniu o wielkości i unikalności amerykańskiej demokracji. Szkoda jednak, że coraz częściej w tę demokrację wątpią nawet amerykańscy politolodzy.

O jakiej bowiem demokracji może być mowa, kiedy Kongres w połowie składa się z milionerów, a analizy statystyczne pokazują, że społeczne poparcie dla inicjatyw ustawodawczych ma zerowe przełożenie na szanse przyjęcia ich przez Izbę i Senat?

Russiagate: kapitalizm

W 2019 r. trudno zachowując przytomność umysłu twierdzić jednocześnie, że Trump jest agentem Kremla w Waszyngtonie – i to zupełnie abstrahując od ustaleń komisji Muellera. Polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych pozostaje całkowicie antyrosyjska, a stosunki między obydwojoma krajami są gorsze niż pod koniec kadencji Obamy. Zaostrzenie sankcji to jeszcze nic. Odżywają najgorsze demony zimnej wojny: stoimy u progu nowego wyścigu zbrojeń i prężenia przez mocarstwa muskułów nuklearnych po tym, jak rząd Trumpa postanowił jednostronnie wycofać USA z układu o nierozprzestrzenianiu broni atomowej średniego zasięgu. Prezydent postanowił na dodatek otwarcie zbroić Ukrainę przeciwko Rosji, nawet w sytuacji, gdy Kongres zwątpił w sens dalszego popierania ukraińskiej skrajnej prawicy.

Donald Trump wbrew niedawnym deklaracjom nie zamierza wycofywać reszty wojsk z Syrii ani z Iraku, idąc w ten sposób na pogłębienie konfliktu z Rosją. Zarzewiem kolejnej wasni z Moskwą staje się Wenezuela. Jest również na prostej drodze do wojny z Iranem, która była odwiecznym marzeniem Hillary Clinton. Jeśli więc faktycznie w 2016 r. obiecywali sobie coś po Trumpie, bo na złość “Killary” głosił hasło polityki “nieinterwencji”, to postawili na złego konia. “Dobrego” zresztą być nie może, bo nawet Trump – chodzący pomnik megalomanii – nie jest w stanie rządzić wyłącznie według własnego widzimisię. Każdy prezydent USA jest zakładnikiem amerykańskiego kompleksu wojskowo-przemysłowego, dla którego samo istnienie Rosji zawsze będzie pretekstem do wszczynania kolosalnie zyskowych wojen. A antyrosyjska panika “obrońców

demokracji” w USA jest jak woda na młyn najagresywniejszych “jastrzębi” z CIA, Pentagonu i lobby zbrojeniowego.

Czym więc była Russiagate i czym może być w kolejnych swych odsłonach? Na pewno nie miała nic wspólnego z aferą Watergate – co najwyżej jako jej parodia. Siła i znacznie Watergate opierały się bowiem na wyrokach amerykańskich sądów, a nie na medialnej nagonce żywiącej się tym, co prasie podrzuci CIA. Pogoń za “agentami Putina” była bez wątpienia spektaklem, dzięki któremu Demokraci i ich media miały nadzieję zmieść przeciwnika bez konieczności rozliczania się z ich smutnym dorobkiem, który sprawił, że sfrustrowane masy wołały w 2016 r. zagłosować na politycznego klauna, jawnego rasistę, mizogina, mitomana, miliardera-chama, który kobiety “łapie za cipę” i obiecuje posłać do diabła wszystko co nieamerykańskie, niż na ich “damę”, reprezentującą podobno demokratyczne wartości i poprawność polityczną.

Wraz z upadkiem Russiagate Trump dostał wymarzone paliwo wyborcze na przyszłoroczne wybory. Ktokolwiek zechce rzucić mu poważne wyzwanie, będzie musiał przeciwstawić jego nienawistnemu show umiejętność i odwagę podjęcia palących problemów społecznych przygniatających większość Amerykanów w ich codziennym życiu. To nierówności sięgające poziomu absurdu; podporządkowanie państwa i gospodarki najbogatszemu jednemu procentowi; niekończąca się recesja; nieprzerwane bogacenie się bogatych i biednienie biednych; obozy namiotowe w metropoliach, gdzie koczują nędzarze, którzy potracili domy. To miazdzące koszty opieki zdrowotnej; konieczność chwytania się przez ludzi kilku prac, by przeżyć do pierwszego; “śmieciowe” zatrudnienie; deterioracja infrastruktury i usług publicznych; studencka spirala zadłużenia na opłacenie czesnego; rosnąca represyjność policji; pękające w szwach więzienia prowadzone jako intratny biznes...

Tak przedstawia się USA po ośmioletnich rządach Obamy, który osobiście chwalił się przed przedstawicielami Wall Street, że jego prezydentura uczyniła ich tak bogatymi, jak jeszcze nigdy

nie byli. To jest porządek klasowy, który reprezentują Demokraci. Nie ma możliwości, by zmierzyli się z Trumpem na tym gruncie w sposób wiarygodny dla społeczeństwa coraz bardziej niechętnego oderwanym od rzeczywistości elitom. Są bowiem częścią elity na równi z Trumpem. On ma dla ludzi bajkę o "Wielkiej Ameryce" podlanej pobudzającym sosem ksenofobii. Tamci zaś myśleli, że opowiedzą lepszą bajkę, a "ciemny lud to kupi" – stąd "Ameryka w szponach Putina". Część Demokratów pewnie sam w nią uwierzyła.

Wszystko, co najgorsze w polityce Donalda Trumpa: szczucie na imigrantów i zamykanie meksykańskich dzieci w obozach koncentracyjnych, lekceważenie zubożenia społeczeństwa i coraz wyższe koszty życia, ulgi podatkowe dla najbogatszych, policyjna przemoc dla najbiedniejszych, postępująca katastrofa ekologiczna, uwikłanie w niekończące się wojny pożerające już setki miliardów dolarów – to tylko nasilenie tendencji, które rozwijały się za Obamy. I to nie z powodu indywidualnej polityki głowy państwa. Rzecz w tym, że konsekwentna krytyka Trumpa nieuchronnie musi prowadzić do krytyki kapitalizmu w jego schyłkowej, gnijącej wersji, który trwa głównie dzięki sprzedaży ludziom fantazji lub napuszczaniu ich na siebie nawzajem. Trump robi to doskonale. Okazało się Amerykanom można z powodzeniem wciskać obrzydliwość, cynizm i przemoc kapitalizmu, jego wściekły darwinizm społeczny, bez żadnych upiększających pozorów, jedynie z rozbrajającym uśmiechem opalonego w solarium „Janusza biznesu”, urągającego bez ogródek kolorowym, „pedałom” i feministkom. Demokraci są po staroświecku przywiązani do pozorów demokracji, namiastki równości, która ma utrzymywać z ryzach porządek klasowy. Trump dowiódł, że to już nie działa. Po błędne straszenia Putinem kompletnemu wypaleniu uległ turbopatriotyzm w wydaniu „szlachetnym”. Nowej drogi politycznej na razie nie widać. Nie widać autentycznej siły społecznej. Nie widać nadziei dla Ameryki.

Autorstwo: Paweł Jaworski

Źródło: Strajk.eu